

PLAGI

NA DIABELSKIM POLETKU



— RANSOM RIGGS —

PLAGI

NA DIABELSKIM POLETKU

— SZÓSTA POWIEŚĆ Z SERII —

OSOBLIWY DOM PANI PEREGRINE

Tłumaczyli Małgorzata Hesko-Kolodzińska i Piotr Budkiewicz

Media Rodzina

Tytuł oryginału

THE DESOLATIONS OF DEVIL'S ACRE

Copyright © 2021 by Ransom Riggs

Copyright © 2021 for the Polish edition by Media Rodzina Sp. z o.o.

Projekt oryginalny książki Anna Booth

Projekt okładki Lindsey Andrews

Zdjęcia na okładce (front) z kolekcji The Thanatos Archive i Ransoma Riggsa

Zdjęcia na okładce (tył) z kolekcji Johna Van Noate i Ransoma Riggsa

Pieczeń Ministry of Peculiar Affairs na s. 389, 395, 440 © 2018 by Chad

Michael Studio

Mężczyzna z dalekopisem na s. 41 © 2021 by Steve Ciarcia

Niedźwiedź i głowy antylopy na s. 332 i 333 © EVGENY LASHCHENOV /
123RF.com

Głowy barana na s. 332 i 333 © acceptphoto / 123RF.com

Plakat na s. 486 © Natalia Chernyshova / 123RF.com

Opracowanie polskiej wersji okładki i wyklejki

Rafael Martins

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo
fragmentów książki – z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach
krytycznych – możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8008-931-0

Media Rodzina Sp. z o.o.

ul. Pasieka 24, 61-657 Poznań

tel. 61 827 08 50

wydawnictwo@mediarodzina.pl

Skład

Trevo – Martins

Druk i oprawa

EDICA

Dla Jodi Reamer, pogromczyni bestii

Zdarza się, że stara fotografia, stary przyjaciel
lub stary list przypomną ci, że nie jesteś tym, kim byłeś
kiedyś, gdyż osoba, która gdzieś mieszkała, coś cenila,
wybierała to, pisała owo, już nie istnieje.

Pokonalesz olbrzymi dystans, choć nawet tego
nie zauważyłeś. Obce stało się znajome, a znajome —
nawet jeśli już nieobce — co najmniej niezręczne
lub niekomfortowe.

Rebecca Solnit
„Smutek dystansu”
A Field Guide to Getting Lost

ROZDZIAŁ
PIERWSZY

Przez długi czas jest tylko ciemność, huk odległego gromu i świadomość opadania. Brak mi tożsamości, imienia i wspomnień. Pamiętam jak przez mgłę, że kiedyś miałem to wszystko, ale przepadło i stałem się prawie niczym, samotnym fotonem gasnącego światła, krążącym w głodnej próżni.

Już niedługo.

Obawiam się, że utracilem duszę, ale nie mogę sobie przypomnieć, w jaki sposób. Pamiętam jedynie powolne, urywane trzaski pioruna, a wśród nich sylaby układające się w moje imię, jakkolwiek ono brzmi, rozciągnięte i przez to niezrozumiałe. Długo jest tylko to i mrok, aż wreszcie do grzmotu dołącza jeszcze jeden dźwięk: wycie wiatru. A potem szum deszczu. Teraz jest wiatr, grzmot, deszcz i opadanie.

Coś się tworzy, pojawia się jedno doznanie po drugim. Unoszę się nad jamą, uciekam z próżni. Samotny foton staje się migoczącą zbitką.

Czuje coś szorstkiego przy twarzy, słyszę skrzypienie sznurów i łopot. Może znalazłem się na wodzie, uwięziony w mrocznych trzewiach miotanego sztormem statku.

Jedno oko otwiera się powoli. Nad sobą widzę ruchome niewyraźne kształty — to rząd rozkołysanych wahadeł. Zbyt mocno nakręcone zegary jęczą nieźbornie, zaraz popękają im trybiki.

Mrugam, a wahadła przemieniają się w spadające z szubienicy dziwacznie powykręcane ciała.

Udaje mi się odwrócić głowę. Rozmyte kształty stopniowo nabierają ostrości. Szorstka zielona tkanina ociera się o moją twarz. Tykające zwłoki nade mną zmieniały się w rząd szarpanych huraganem roślin, które wiszą w skrzypiących wiklinowych koszykach pod krokwiami. Za nimi moskitiery trzęsą się i lopoczą na wietrze.

Leżę na werandzie, na szorstkiej zielonej podłodze.

Znam tę werandę

Znam tę podłogę

Nieco dalej smagany deszczem trawnik kończy się przy ciemnej ścianie przygarbionych palm.

Znam tamten trawnik

Znam tamte palmy

Od jak dawna tu jestem? Od ilu lat?

czas znowu ze mną pogrywa

Usiłuję się poruszyć, ale mogę jedynie obrócić głowę. Mój wzrok pada na stolik karciany i dwa składane krzesła. Nagle jestem pewien, że gdybym się zmobilizował i wstał, znalazłbym na blacie okulary, porzucone pionki na planszy do Monopoli i kubek parującej kawy, która nie zdążyła wystygnąć.

Ktoś tu był, w powietrzu nadal wiszą wypowiedziane przed chwilą słowa. Powracają do mnie echem.

— Ale jaki ptak?

Chłopięcy głos. Mój głos.

— Duży jastrząb, który palił fajkę. — Ten głos brzmi chrapliwie. Starszy mężczyzna mówi z akcentem.

— Na pewno myślisz, że jestem strasznie głupi — oświadcza chłopiec.

— Nigdy bym tak o tobie nie pomyślał.

I znowu chłopiec:

— Ale dlaczego potwory chcą cię skrzywdzić?

Starszy mężczyzna hałaśliwie odsuwa krzesło i wstaje. Mówi, że idzie po coś, co chce mi pokazać. Jakies zdjęcia.
kiedy to było

przed minutą

przed godziną

Muszę wstać, bo się zmartwi. Pomyśli, że robię mu psikusa, a nie lubi psikusów. Kiedyś dla zabawy schowałem się przed nim w lesie i nie mógł mnie znaleźć, a wtedy cały poczerwieniał i wykrzykiwał brzydkie słowa. Później twierdził, że to ze strachu, ale nie chciał powiedzieć, co go tak przeraziło.

Leje jak z cebra. Burza jest wściekła i żywa, zdążyła już rozpruć jedną z siatek, która teraz tłucze się jak flaga na wichurze.

coś jest ze mną nie tak

Opieram się na łokciu, ale na tym koniec. Dostrzegam dziwny czarny ślad na podłodze. To wypalona linia w kształcie mojej sylwetki.

Staram się podźwignąć i usiąść. Ciemne plamy latają mi przed oczami.

Słyszę donośny loskot i wszystko staje się oślepiająco białe.

tak jasno

tak blisko

tak głośno

Brzmiało to jak eksplozja, ale nie doszło do wybuchu. To piorun uderzył na zewnątrz, tak blisko, że błysk i huk pojawiły się jednocześnie.

Teraz siedzę prosto. Serce mi łomocze, a dłoń trzęsie się przed moimi oczami.

Wygląda dziwnie, jest za duża. Palce są za długie. Między kłykcami rosną czarne włosy.

*gdzie jest ten chłopiec nie jestem tym chłopcem? nie lubię
psikusów*

Na nadgarstku widnieją czerwone kreski otartej skóry.
*kajdanki przykuty do barierki na werandzie podczas
burzy*

Dostrzegam blat stolika. Jest pusty. Nie ma kubka ani okularów.

nie wróci

A jednak, o dziwo, wraca. Jest poza domem, na skraju lasu. Mój dziadek. Brnie przez wysoką trawę, kuli się na wietrze, jego żółty sztormiak ostro kontrastuje z ciemnymi palmami. Obszerny kaptur chroni jego oczy przed zacinającym deszczem.

co on tam robi dlaczego nie wejdzie

Zatrzymuje się. Opuszcza wzrok na coś w przerośniętej trawie.

Unoszę rękę. Wołam go po imieniu.

Wyprostowuje się i dopiero wtedy uświadamiam sobie, że wygląda nie tak jak trzeba. Jest za szczupły. Porusza się zbyt płynnie jak na starszego pana z dotkniętymi artretyzmem biodrami.

bo to nie on

Biegnie ku mnie, w stronę domu, do podartej i łopoczącej siatki.

burza tego nie zrobiła

jakie potwory?

przygarbione i okropne z gnijącą skórą i czarnymi oczami wiją się

Zrywam się na równe nogi, a on gwałtownie otwiera siatkowe drzwi i wypełnia sobą próg.

— Kim jesteś? — pyta.

Mówi głuchym, ale pełnym napięcia głosem, i zsuwa kaptur. Jest w średnim wieku, ukrywa oczy za ciemnymi

okularami, a schludnie przystrzyżony zarost podkreśla jego spiczasty podbródek.

Dziwnie jest stać na własnych nogach w obecności innej osoby, więc ledwie do mnie dociera, że podczas ulewy nie nosi się okularów przeciwsłonecznych.

— Yakob — odpowiadam machinalnie.

Poniewczasie uświadamiam sobie, że nie zabrzmiało to tak, jak powinno.

— Jestem nadzorcą budynku — oznajmia, ale wiem, że to kłamstwo. — Przyszedłem zabezpieczyć okna przed burzą.

— Trochę się pan spóźnił — zauważam.

Wchodzi powoli, jakby zbliżał się do płochliwego zwierzęcia. Siatkowe drzwi zamykają się ze skrzypnięciem. Zerka na wypalony ślad na podłodze, po czym ponownie wbija we mnie zimne spojrzenie.

— To ty — mówi i wodzi palcami po karcianym stole, zbliżając się do mnie ciężkim krokiem. Ma potężne czarne buciory. — Jacob Portman.

Tak się nazywam. Tak się naprawdę nazywam. Coś wychyla się z jamy w mroku.

*upiorne usta, powstałe w spiralnie skręconych chmurach,
grzmiącym głosem wypowiadają moje imię*

*piękna dziewczyna o kruczoczarnych włosach obok mnie
wrzeszczy*

— Jak mniemam, poznałeś już mojego przyjaciela — mówi mężczyzna, uśmiechając się jadowniczo. — Przedstawia się wieloma nazwiskami, ale ty znałeś go jako doktora Golana.

koszmarne usta z chmur

kobieta wije się w trawie

Wizje napływają do mojej głowy z nagłą, nieustępliwą

siłą. Cofam się nieporadnie, aż natrafiam na przesuwane drzwi ze szkła. Mężczyzna zbliża się i wyciąga z kieszeni małe czarne pudełko z czymś, co wygląda jak metalowe kły.

— Odwróć się — żąda.

Nagle uświadamiam sobie powagę sytuacji. Muszę się bronić, więc udaję potulnego, unoszę ręce, jakbym się poddawał, a kiedy się zbliża, uderzam go obiema pięściami w twarz.

Krzyczy, okulary zlatują mu z nosa. Oczy, które teraz widzę, wyglądają jak błyszczące białe jajka zatopione w czaszce. Czuję na sobie ich mordercze spojrzenie. Słyszę donośny trzask, kiedy łuki niebieskiego światła przeskakują pomiędzy kłami na czarnym pudełku.

Rzuca się na mnie.

Czuję wstrząs, kiedy przypala mnie paralizatorem, i wpadam plecami na szklane drzwi. Jakoś wytrzymują uderzenie.

Rzuca się na mnie. Słyszę brzęczenie ładującego się paralizatora. Usiłuję zepchnąć z siebie mężczyznę, ale ja też muszę się zregenerować, bo wciąż jestem za słaby. Ból przeszywa moje ramię i głowę.

Potem coś nim szarpie, a on wrzeszczy i nagle wiotczeje, ja zaś czuję ciepły strumyk na szyi.

Krwawię. (Naprawdę?)

Mężczyzna usiłuje coś złapać i spada ze mnie. To coś ma rękojeść z brązu i wystaje na kilkanaście centymetrów z jego szyi.

Za nim, w głębi pomieszczenia dostrzegam ciemność, żywy cień, którego wcześniej tam nie było. Z mroku nagle wychyla się dłoń, chwyta ciężką popielniczkę mojego dziadka i wymierza mężczyźnie potężny cios w głowę.

Napastnik pada z jękiem, a z cienia wylania się dziewczyna.

To ta dziewczyna, ta z Wcześniej. Ma zmierzwione i mokre od deszczu długie czarne włosy i umorusany ziemią długi czarny płaszcz. Spogląda na mnie szeroko otwartymi ze strachu oczami i nagle mnie rozpoznaje. Chociaż jeszcze nie dopasowałem wszystkich elementów układanki i kręci mi się w głowie, to i tak wiem, że stał się cud. Oboje żyjemy i jesteśmy tutaj, a nie w tamtym innym miejscu.

mój Boże

to takie straszne, że aż trudno to opisać

Jest teraz przy mnie na podłodze, klęczy i mnie obejmuje. Moje ramiona niczym koło ratunkowe otaczają jej szyję. Jest zziębnięta, czuję, jak dygocze, kiedy tulimy się do siebie.

Nie rozluźniając uścisku, wypowiada moje imię raz po raz, a przy każdym powtórzeniu Teraz nabiera wagi i krzepnie.

— Jacob, Jacob. Pamiętasz mnie?

Mężczyzna na podłodze jęczy. Aluminiowa rama siatki na werandzie trzeszczy, a burza, wściekła pogoda, którą chyba sprowadziliśmy z tamtego innego miejsca, groźnie pojełkuje.

Zaczynam sobie przypominać.

— Noor — mówię. — Noor. Jesteś Noor.



W ułamku sekundy wszystko powraca. Przeżyliśmy i udało się nam uciec z zapadającej się pętli V. Trafiliśmy na współczesną Florydę, na sztuczną trawę pokrywającą werandę dziadka.

Szok. Chyba nadal byłem w szoku.

Kuliliśmy się na podłodze, obejmowaliśmy się kuczkowo, podczas gdy burza szalała, i wreszcie wstrząsające nami dreszcze zaczęły ustępować. Mężczyzna w żółtym sztormiaku leżał nieruchomo, a jego pierś coraz słabiej unosiła się i opadała. Wsiąkająca w sztuczną trawę krew utworzyła dookoła niego lepką kałużę. Z jego szyi nadal sterczała brązowa rękojeść noża, który wbiła Noor.

— To otwieracz do listów mojego dziadka — powiedziałem. — A to był jego dom.

— Twojego dziadka. — Odchyliła się nieco, żeby na mnie spojrzeć. — Tego, który mieszkał na Florydzie?

Skinąłem głową. Huk pioruna wstrząsnął domem, a Noor rozejrzała się i z powątpiewaniem pokręciła głową. To się nie dzieje naprawdę. Dobrze wiedziałem, co czuła.

— Jak to się stało? — spytała.

Wskazałem jej wypalony zarys na podłodze.

— Tam się ocknałem — odparłem. — Nie mam pojęcia, jak długo byłem nieprzytomny. Nawet nie wiem, jaki dziś dzień.

Noor potarła oczy.

— Mam mętlik w głowie — westchnęła. — Wszystko jest nie tak.

— Ostatnie, co pamiętasz?

Zmarszczyła brwi, usiłując się skoncentrować.

— Poszliśmy do mojego dawnego mieszkania. Potem jechaliśmy... — Mówiła powoli, jakby łącząc fragmenty snu. — I trafiliśmy do pętli... Znaleźliśmy pętlę V! I uciekaliśmy przed burzą. Nie, przed tornadem.

— To były dwa tornada, prawda?

— A potem ją znaleźliśmy! Prawda? Znaleźliśmy ją! — Zacisnęła dłonie na moich dłoniach. — A potem...

Rozluźniła uścisk, jej wzrok stał się pusty, a wargi się rozchyliły, ale nie wydobyło się z nich ani jedno słowo. Koszmar powrócił i na nią natarł.

Na mnie również.

Murnau z nożem w dłoni kuca przy leżącej w trawie V. Z ręką uniesioną w triumfalnym geście biegnie w kierunku wirującego leja.

Zalala mnie fala gorąca, przez chwilę nie mogłem oddychać. Noor ukryła twarz między kolanami i zaczęła się kołysać.

— O Boże... — zawodziła. — O Boże, o Boże, o Boże...

Myślałem, że rozplynie się na moich oczach, może stanie w płomieniach albo wysie światło z pomieszczenia.

Nagle gwałtownie uniosła głowę.

— Dlaczego nie zginęliśmy?

Przeszył mnie niekontrolowany dreszcz.

Może zginęliśmy.

Przecież na pewno zmiażdżyła nas waląca się pętla V, tak jak zaplanował Caul. Noor najwyraźniej stanowiła jedyne dowód na to, że moje obecne przeżycia to coś więcej niż tylko straszna luka w pamięci, fajerwerki towarzyszące ostatniemu tchnieniu umierającego mózgu.

Nie. Odpędziłem myśli o śmierci. Byliśmy tutaj i żadne z nas nie umarło.

— Zdolała nas wydostać — powiedziałem. — Przeniosła nas tutaj.

— Wykorzystała jakieś wyjście awaryjne. Przycisnęła guzik katapultowania. — Noor pokiwała głową, ugniatając dłonie. — To jedyne wyjaśnienie.

Trafiliśmy do domu mojego dziadka, mentora i szefa V. Wyszkoilił ją, pracowali razem. To miało sens — za to

nie miała go nasza obecność w miejscu, gdzie nie było pętli. Jak zatem to zrobiła?

— Skoro nas wydostała, może i jej udało się stamtąd uciec — zasugerowała Noor. W jej głosie usłyszałem nadzieję, tę szaleńczą, balansującą nad przepaścią. — Nie-wykluczone, że jest tutaj. I kto wie, może jeszcze...

Nie zdołała dokończyć zdania. Może jeszcze żyje.

— Zabrał jej serce — powiedziałem cicho.

— Można żyć bez serca. Przynajmniej przez chwilę... — Machnęła drżącą ręką.

Dopiero co powróciliśmy do rzeczywistości, a Noor już traciła z nią kontakt.

— Chodź, chodź, musimy spojrzeć — wyrzuciła z siebie, wstając raptownie. — Jeśli w ogóle jest szansa, musimy...

— Zaczekaj, nie wiemy, co...

Co jest w środku — chciałem powiedzieć. Co na nas czeka.

Ale Noor już zdążyła wbiec do ciemnego domu.



Przyłożyłem dłoń do ściany i chwiejnie wstałem. Noor histeryzowała, więc postanowiłem nie spuszczać jej z oka. Kurczowo uczepiła się absurdałnej nadziei na odnalezienie żywej V i tylko dzięki temu nie wpadła w rozpacz, która mogła ją pochłonąć. Martwiłem się, że ucierpi w dwójnasób, gdy doświadczy nieuchronnego rozczarowania. Nie wolno mi było dopuścić do tego, żeby Noor Pradesh się załamała.

Jeśli Murnau zdołał zrealizować swoje niegodziwe plany, jeśli prawdziwe było to, co na moich oczach

zmaterializowało się w tornadzie — twarz Caula w wirujących chmurach, jego głos przeszywający powietrze — i jeśli rzeczywiście powrócił, to właśnie ziszczały się najbardziej przerażające fragmenty przepowiedni. Innymi słowy, cały osobliwy świat wkrótce miał legnąć w gruzach. Bóg jeden wiedział, do czego był zdolny Caul po tym, jak pochłoniął jeden z najpotężniejszych słojów w bibliotece dusz i zginął, gdy się zawaliła, a następnie zmartwychwstał.

Ponownie się narodził.

Jam jest Śmierć, niszczyiciel światów.

Było lub miało być źle, niemniej wiedziałem na pewno, że świat potrzebuje Noor Pradesh. Była jednym z siedmiorga osobliwców, których nadejście przepowiedziano. To oni mogli uwolnić nasz świat — od Caula? — i *zapieczyć drzwi* — dokąd? Do piekła? — i choć brzmiało to dziwacznie, nie było bardziej dziwaczne niż fragmenty sprawdzającej się już przepowiedni rewelatora. Przestałem w nią wątpić, podobnie jak przestałem wątpić w to, co widziałem na własne oczy.

To nie był sen ani przedśmiertna wizja umierającego umysłu. Czulem co do tego narastającą pewność, kiedy potykałem się o prowadnicę przesuwanych drzwi do salonu. Dom wyglądał identycznie jak parę tygodni wcześniej, kiedy go opuszczałem wraz z przyjaciółmi: pośpiesznie doprowadzony do porządku i niemal pusty. Książki, których mój ojciec nie wyrzucił, znowu stały na półkach, a śmieci, wcześniej walające się po podłodze, trafiły do czarnych plastikowych worków. Duszące powietrze zalaływało stęchlizną.

Noor biegła z kąta w kąt w poszukiwaniu V. Zdarła z sofy ochronne prześcieradło i natychmiast za nią

zajrzała, żeby sprawdzić, co się tam kryje. Gdy stanęła przy oknie, już miałem powiedzieć: „Noor, poczekaj”, ale przeszkodził mi grzmot. Oboje podskoczyliśmy i wyrzeliśmy przez smaganą deszczem szybę na zasłane śmieciami podwórze. Wszystkie okiennice w ciemnych domach po drugiej stronie ślepej uliczki były pozamykane. Okolica wyglądała na pustą, wręcz wymarłą.

— Upiór pewnie miał kolegów — zauważyłem. — Mogą się zjawić w każdej chwili.

— Niech przyjdą. — Spojrzenie Noor było zimne jak lód. — Nie wyniosę się stąd, dopóki nie przeszukamy wszystkich pomieszczeń. Zajrzę do każdego schowka.

— Ja też. — Skinałem głową.

Sypialnia okazała się pusta, nikt nie krył się pod łóżkiem. Czulem się głupio, kiedy ukłękliśmy, żeby pod nie zajrzeć, jak dzieci szukające potwora, ale i tak to zrobiłem. Na dywanie dostrzegłem prostokątny odcisk w miejscu, w którym dziadek trzymał stare pudełko po cygarach. Znalazłem je po jego śmierci, a zdjęcia tam ukryte na zawsze odmieniły moje życie. V jednak nigdzie nie było, ani żywej, ani martwej. Sprawdziliśmy w garderobie oraz łazience, gdzie Noor gwałtownie odsunęła zaslonę prysznicową i natknęła się jedynie na wyschniętą kostkę mydła.

W pokoju gościnnym zobaczyliśmy tylko stertę nieużywanych kartonowych pudeł oraz czerniejące plamy pleśni na dywanie. Czulem, jak rozpacz Noor narasta. Kiedy dotarliśmy do garażu, głośno wołała V, a mnie pękało serce.

Wodziliśmy wzrokiem po rozrzuconych rupieciach i przedmiotach, których dziadek nie zdążył naprawić. Dwie drabiny, każda z brakującym szczeblem. Pękaty stary telewizor z pękniętym ekranem. Zwoje drutu i sznurów.

Stół dziadka, zastawiony narzędziami i czasopismami stolarskimi. Wyczuwałem obecność naszych duchów, dziadka i mojego, ramię przy ramieniu w świetle lampy na wysięgniku, zajętych rozciąganiem czerwonej przędzy na mapie z pinezkami. Tamten chłopiec przez cały czas myślał, że to tylko zabawa, wymyślona historyjka.

Grzmotnęło i brama garażu się zatrzęsła, a ja powróciłem do rzeczywistości. Dostrzegłem szafkę na broń palną dziadka, jedyne miejsce w garażu na tyle duże, żeby zmieścić człowieka. Noor ruszyła pierwsza — dotarła do szafki przede mną i szarpnęła za uchwyty. Drzwiczki uchyliły się lekko, a potem szczęknął łańcuch. Ktoś, prawie na pewno mój tata, zamknął szafkę na kłódkę. Przez szczelinę zauważyliśmy rząd naoliwionych luf karabinów. Ten arsenał mógł uratować dziadka, gdybym nie zabrał klucza.

Noor ze zdumieniem cofnęła głowę, po czym odwróciła się i pobiegła do domu. Popędziłem za nią do gabinetu dziadka, jedyne go pomieszczenia, którego jeszcze nie przeszukaliśmy. To tutaj Olive tupnęła i usłyszała głuchy dźwięk, a gdy odsunęła dywan, odkryła klapę do schronu pod podłogą. V zapewne wiedziała o jego istnieniu, być może nawet знаła kod dostępu.

Usiłowałem powiedzieć to Noor, przekrzyczeć jej wrzaski — *Jesteś tu? Mamo, gdzie jesteś?* — i narastający ryk burzy, ale mnie nie słyszała. Przesunęła puste biurko Abe'a i gwałtownie otworzyła drzwi maleńkiego schowka. Dałem za wygraną i sam zwinąłem ciężki dywan, usiłując sobie przypomnieć, gdzie jest zamaskowana klapa na zawiasach. Byłem jednak zbyt roztrzęsiony, żeby ją znaleźć.

Nie znaleźliśmy V w schowku. Uznałem, że w schro-

nie też jej nie ma, bo niby dlaczego miałyby uciec i się tam zaszyć, tym samym odcinając nam dostęp?

Kiedy Noor wybiegła z pokoju, wstałem i pobieglem za nią.

Dogoniłem ją w salonie, stała na środku nieruchomo jak głaz. Oddychała ciężko, ale była skupiona. Skinęła na mnie dłonią.

— A może przenieśliśmy się tu we trójkę? — zasugerowała cicho, wpatrując się w kąt. — I dzielila nas taka sama odległość jak na werandzie V. — Uniosła rękę. — Tam. Tam się ocknęłam. — Wskazała miejsce, w którym stał podniszczony fotel dziadka. Obok na podłodze widniał wypalony ślad, kształtem z grubsza przypominający Noor. — A ty obudzileś się tam. — Wycelowała palec w otoczoną siatką werandę, gdzie zarys mojej sylwetki niknął w coraz większej kałuży krwi upiora. — Właśnie w takiej odległości od siebie znajdowaliśmy się na werandzie V. Przykuto cię do barierki, o tam, a ja byłam tutaj.

Coś we mnie drgnęło, mój puls przyspieszył.

— A V w trawie — dodałem.

Jednocześnie podnieśliśmy wzrok, a nasze spojrzenia powędrowały ku lopoczącej siatce, zarośniętemu ogrodowi, wysokiej trawie pod lasem, gdzie mężczyzna w żółtym sztormiaku wcześniej patrzył na ziemię.

— To tam — wyszeptalem.

Odskoczyliśmy od siebie, by razem popędzić w burzę.